

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 177.

№ 15. | Warszawa, 1 sierpnia 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

IV-ta Warszawska Wystawa Psów.



F o k.

Medal srebrny. p. S. G. Menajłowa.

ZJAZDY WE LWOWIE.

I. X-ty Zjazd Łowiecki.

W d. 2 lipca r. b. zebrali się członkowie i delegaci Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego na walne zgromadzenie. Porządek dzienny obejmował: 1) Zagajenie. 2) Odczytanie protokółu z ostatniego Waln. Zgromadzenia. 3) Sprawozdanie z czynności Wydziału za rok 1905. 4) Sprawozdanie Komisyi rewizyjnej. 5) Preliminarz na rok 1906. 6) Referat d-ra Miziewicza w sprawie handlu zwierzyną. 7) Wybory. 8) Wnioski członków.

Posiedzenie zagaił prezes Towarzystwa, Stanisław hr. Stadnicki, dłuższem przemówieniem, w którem zarysował stan i działalność Towarzystwa za rok ubiegły. Najważniejszą sprawą był poruszony projekt zmiany ustawy łowieckiej. Krokiem naprzód było zwołanie przez Wydział krajowy ankiety w kwestyi projektowanych reform. Z wyników jej sądzić można, że nie uda się uratować dzika, któremu wypowiedziano wojnę zawziętą. Zwierzynę tę uważać należy w Galicyi za skazaną na zagładę. Natomiast przypuszczać można, że łanie i kozy uda się wyjąć w pewnych miesiącach z pod ochrony. Odpowiedni memoryał, co do zmian projektowanych, przedstawił Wydziałowi krajowemu syndyk Towarzystwa, dr. Sołowij, i należy mieć nadzieję, że Wydział pójdzie za uwagami, w memoryale tym zawartemi. Następnie prezes zaproponował Zgromadzeniu zamianowanie długoletniego i niestrudzonego członka, JE. d-ra Witolda Korytowskiego, członkiem honorowym, co przyjęto przez aklamacyę, poczem Zgromadzenie uczciło przez powstanie pamięć 10-u zmarłych członków Towarzystwa.

Następnie przyjęto do wiadomości protokół Zgromadzenia poprzedniego, poczem p. Krogulski odczytał sprawozdanie z czynności za rok ubiegły. Preliminarz zatwierdzono.

W sprawie słownictwa łowieckiego p. Krogulski zaznaczył dodatkowo, że p. Albert Mniszek odniósł się w tej sprawie do p. Jana Sztolcmana, redaktora „Łowca Polskiego“, który chętnie zgodził się na podjęcie wspólnej pracy po porozumieniu się z osobami kompetentnemi wśród myśliwych Królestwa Polskiego.

Poruszył też mówca sprawę reorganizacyi delegatów, która, niestety, jak dotychczas, idzie opornie, natrafiając na dziwną apatyę wśród myśliwych miejscowych.

Po zdaniu przez pana Matkowskiego sprawy, z działalności Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich, poruszył p. Henryk Prek dawną sprawę urządzenia podczas zjazdów Towarzystwa, wystawy wieńców jelenich i rogów sarnich. Po długiej dyskusyi uchwalono wybór komisyi organizacyjnej z 7-iu członków pod przewodnictwem hr. Juliusza Bielskiego.

2. Konkurs strzelecki.

Konkursowe strzelanie odbyło się w strzelnicy wojskowej tegoż samego dnia po godzinie, 2-ej z następującym rezultatem:

I. Strzelanie z pistoletu na 25 kroków: 1) porucznik Wład. Zagórski; 2) p. Henryk Prek.

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na 80 kroków: 1) p. Maryan Hamerski; 2) p. Kazim. Marmorosz; 3) p. Henryk Prek.

III. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków: 1) p. Henryk Prek; 2) p. Maryan Hamerski; 3) kap. Bratanitsch.

IV. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do dzika: 1) dr. Wład. Sołowij; 2) p. Albert Mniszek; 3) p. Eust. Rylski.

V. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do lisa: 1) p. Gottwald; 2) p. Włodz. Zagórski; 3) p. M. Malaczyński.

VI. Strzelanie do krążków glinianych: 1) por. Czerny; 2) Albert Mniszek; 3) p. Maryan Hamerski.

(*Dok. nast.*).

W taki to cichy, jesienny wieczór.

(*Ciąg dalszy*).

Do tej zwierzyny stanowczo nie miałem szczęścia i zawsze, w ostatniej chwili coś przeszkodziło. To spotkania nie było, to jelenie wychodziły za daleko, to strzelić nie mogłem z powodu łań, zasłaniających byka.

Oto i dziś szedłem na pewno niby! Byk był miejscowy, znany, przeznaczony dla mnie oddawna. Od tygodnia ryczał w tem samem miejscu, a kiedy przyszło do rzeczy, bróździ znów stary pech.

Znów nie dojdę do strzału. Albo nie wyjdzie dziś wcale, albo wyjdzie po ciemku.

I — jeszcze nie przeszła mi ta myśl przez głowę, jeszcze nie zgasła, kiedy doznałem uczucia dziwnego, niejasnego, niedającego się określić, ani ująć w słowa, uczucia, o którem potocznie mówi się, że „coś tchnęło“. Coś, jak wewnętrzny szept, nieujęty w głos, coś, jak dotknięcie niewidzialnej ręki, jak przestroga, jak znak nieodczuty przez zmysły.

— Jelenie na prawo!

A wrażenie, że jest tak istotnie, że to poczucie nie myli, nie byłoby silniejsze, ani więcej wyraźne, gdyby mnie ktoś dotknął naprawdę, albo poszepnął głosem. A jednak nie widziałem, ani usłyszałem przedtem nic.

Powoli, powoli, ostrożnie odwróciłem głowę i — skamieniałem.

Jak z pod ziemi wyrosła, o dziesięć kroków odemnie stała stara łania. Zatrzymała się na wzgórku nieruchoma, jak posąg ze spiżu, ciemna, cała na tle nieba widoczna, jak na dłoni. Wyszła z lasu cicho, jak mysz, i teraz nastawiwszy bystro łyżki, wyciągnęła szyję i wietrzyła. W uszach i w nozdrzach był cały zwierz, cała jego istota, cała baczność i ostrożność. Patrzyła w stronę jeziora i ruszając chrapami, chwytała wiatr, niepewna skąd idzie, tak samo, jak niedawno leśnik.

„Reszta stada za łanią“, mignęło mi przez myśl. Skuliłem się więcej jeszcze i spojrzałem na sztuccr, który od poprzedniego alarmu trzymałem w ręku.

Postawszy chwilę nieruchomo, łania ruszyła i, rozglądając się na wszystkie strony, poczęła wietrzyć. To wyciągała szyję, nastawiała łyżki i chwytała wiatr, to spuszczała łeb i węszyła po ziemi, jak szukający tropu, pies. Widocznie natrafić musiała na coś, co obudziło w niej podejrzenie, bo długo węszyła, nie podnosząc głowy, właśnie w miejscu, gdzie były nasze ślady. Wreszcie, uspokojona, podniosła głowę i poczęła rozpatrywać się dokoła. Musiała być stara już i doświadczona, bo patrzyła długo, uważnie rozglądając się, jak pani domu przed balem lustrują-

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Zając zwyczajny, czyli *szarak* (*Lepus timidus*). Doskonała monografia współpracownika „Łowca Polskiego“, p. Wiktora Stephana zwalnia mnie od bliższego zastanowienia się nad tym gatunkiem zwierzyny łownej; ograniczę się więc tylko do kilku szczegółów, których tam nie znalazłem.

Zając zamieszkuje całą prawie Europę, najobficiej jednak spotyka się w Niemczech, w Austryi, na Węgrzech i w Królestwie Polskiem; bardziej na wschód, poczynając od wschodniej Litwy, jest już rzadszy, co głównie przypisać należy znacznie surowszemu klimatowi, brakowi kultury, wielkim przestrzeniom leśnym i obecności w lasach pokrewnego gatunku — bielaka (*Lepus variabilis*). We Francyi zając jest mniej obfity, aniżeli w Europie środkowej, gdyż na zachodzie rozwój królików staje na przeszkodzie rozmnażaniu się jego. Na południu, w krajach, okalających morze Śródziemne, zamieszkuje odmiana, zwana śródziemnomorską (*Lepus mediterraneus*), która stanowi przejście do gatunku zająca północno-afrykańskiego.

W Królestwie Polskiem zając najobficiej jest rozpowszechniony w guberniach, położonych na zachód od Wisły (warszawskiej, kaliskiej, radomskiej i piotrkowskiej, — mniej w kieleckiej). Z poszczególnych majątków odznaczają się:

W gub. *warszawskiej*: Księstwo Łowickie Najjaśniejszego Pana, Mała Wieś Zdzisława ks. Lubomirskiego, Prusinowice pp. Czarnowskich, Płowce p J. Biesiekierskiego, dobra Willanowskie Ksawerego hr. Branickiego, Sobota p. A. Stokowskiego, Pawłowice d-ra Brzezińskiego, Brwinów p. Stan. Lilpopa, Młochów (dzierż. przez Kółko Młochowskie), Wola Pękoszewska p. A. Górskiego, Radziejowice Edwarda hr. Krasińskiego, Jabłonna hr. Maurycego Potockiego (z prawej strony Wisły), Nieborów ks. Janusza Radziwiłła, Ruszków p. L. Morzyckiego, Walewice p. St. Grabińskiego, Brzezie bar. L. Kronenberga, Imielno p. Kaz. Witkowskiego, Mnich p. Stan. Grotowskiego i inne;

w gub. *radomskiej*: Bałtów Aleksandra hr. Druckiego-Lubeckiego, Białaczew Zygmunta hr. Platera, Trzebień Jana hr. Zamoyskiego, Staszów Macieja ks. Radziwiłła i inne;

w gub. *piotrkowskiej*: Miedzyń p. H. Bronikowskiego, Grzymalina Wola bar. L. Kronenberga, Borowno p. A. Michalskiego, Kruszyna Stefana ks. Lubomirskiego, Garnek, Skrzydlew, Zamek pp. Reszków, Zielona Dąbrowa p. Scheiblera, Nieznanice p. A. Winszego, Lipno p. Wł. Mittelstaedta, Parzymiechy Wład. hr. Potockiego, Kobiele Wielkie p. K. Tymowskiego i inne;

w gub. *kaliskiej*: Złotniki p. Z. Doruchowskiego, Kazimierz hr. Miączyńskiego, Kraszkowice p. Teodora Endera, Dębe Szlacheckie p. Jana Łuszczewskiego, Domaników p. A. Lasockiego, Sokolniki p. E. Herbsta, Leśmierz, p. Wł. Boettichera, Marchwacz p. W. Niemojewskiego, Lubnie p. Rapparda, Piętno p. Goleza, Strzegocin p. Okolo-Kulaka, Kalinów p. Murzynowskiego, Szczytniki p. St. Murzynowskiego i inne;

w gub. *kieleckiej*: Chrobierz Aleksandra margr. Wielopolskiego, Góry p. L. Dembińskiego, Miechów p. Mikułowicza, Krzelów mgr. Wielopolskiej.

Gubernie, położone na wschód od Wisły, są znacznie słabiej przez zające zasiedlone, co przypisać należy gorszemu na ogół gatunkowi gleby, znaczniejszym przestrzeniom leśnym, niższemu na ogół stanowi kultury i mniejszej ilości większych dóbr, w którychby myślistwo prowadzone było prawidłowo. Pod względem zasiedlenia przez zające gubernie te ułożyć można w następującym porządku: płocka, siedlecka, lubelska, łomżyńska i suwalska. O ile pierwsza z nich nie ustępuje najlepiej zasiedlonym przez zające, guberniom lewego porzecza Wisły, o tyle ostatnie dwie stanowią smutny wyjątek wśród ogólnie dobrego stanu łowiectwa w Królestwie Polskiem. W wymienionych trzech pierwszych guberniach następujące majątki wyróżniają się dobrem lub względnie dobrem zasiedleniem zajęcy:

w gub. *płockiej*: Malawieś p. Stan. Sonnenberga, Szpetal p. Zdzisława Rutkowskiego, Bogucin p. Karnkowskiego, Ugoszcz p. Borzewskiego, Karnków p. Ign. Karnkowskiego, Skempe pp. Zielińskich, Kamień p. Wąsowicza, Nadróż p. A. Bartela, Dyblin p. J. Pruskiego, Wierzbick p. L. Zielińskiego i inne.

w gub. *siedleckiej*: Osieck (dzierż. przez Warsz.

---

ca salę, czy wszystko na miejscu, czy światła zapalone i nie brak niczego. Podeszła do mnie tak blizko, że dzielił nas tylko krzak jałowcu, pod którym czatowałem. Po przez zielone igły widziałem dokładnie jej oczy i łzawnice; słyszałem, jak węszy, i czekałem, rychło mnie odszuka i pójdzie. Była chwila, że wzrok nasz krzyżował się i poprostu czułem na sobie jej oczy. Z bijącem sercem wstrzymałem oddech, w duchu powtarzając sobie: widzi mnie, widzi, zaraz pryśnie... Nie dopatrzyła jednak i, wietrząc spokojnie, odeszła.

Tymczasem reszta towarzystwa, biorącego udział w zgromadzeniu, poczynała nadciągać.

Naprzód, cicho i przykładnie, jak pierwsza, z lasu wysunęły się jeszcze dwie łanie i w chwilę potem czwarta, ostrożna i spokojna, jak poprzednie. Były to najwidoczniej osoby starsze już, zapewne wielokrotne mężatki, dla których rykowisko nie było nowością. Potem, eleganckim, lekkim truchtem, pędzona przez sporego szóstaka, z lasu wybiegła na polanę piąta łania, sądząc z postawy i z zachowania, młoda jeszcze i niedoświadczona, nieumiejąca ani się schować, ani być dość ostrożną.

Jedna ze starszych matron, zgorszona takim nietaktem i brakiem przyzwoitości, ruszyła żywo karcić młodzież i przestrzedz, że na wszelkie poufałości zawcześnie jeszcze. Ale byczek był czupurny jakiś, widocznie bardzo pewny siebie, i nie ustępował łatwo. Na przekorę, czy może chcąc ugłaskać starą, nie namyślając się długo, do niej zwrócił swoje zapały i począł ją pędzić dokoła stada. Inne tymczasem patrzyły z zajęciem, jak damy, kiedy na posadzce pojawi się pierwszy tancerz.

Zupełnie jak w salonie.

Zabawa więc ożywiała się i zapowiadała dobrze. Na zrąb coraz to nadciągały łanie, równie prządne, jak dobrze ułożone, i dokoła sali balowej stawały skromnie w kole. Młodzież tylko, jak to dziś bywa podobno i wśród ludzi, spóźniała się, a przyszedłszy, nie wychodziła na salę, nie podchodziła do dam i kryła się po kątach.

Była jednakże i młodzież w pobliżu, bo w zaroślach słychać było ruch, łamanie i coraz to jakaś głowa, mniej albo więcej rosochata, wysuwała się z pomiędzy drzew i wielkiemi, błyszczącemi oczyma patrzyła, czy nie rozpoczynają tańczyć. I tak, zebrało się powoli liczne towarzystwo, w którem brakło tylko muzyki i — wodzireja.

A musiał to być ktoś nie byle, bo czekano nań długo i cierpliwie. Z lasu wysunął się jeszcze widłaczek i nieśmiało kręcić się począł przy łaniach, ale, na ogół biorąc, nie zwracano na niego zbytniej uwagi i oczekiwano wyraźnie na kogoś znakomitszego. Łanie kręciły się, węszyły, jak gdyby chciały powiedzieć: „co to ma znaczyć, dlaczego on tak spóźnia się dzisiaj“!?

Byłem prawie niemym widzem tylko, a rola, w której przyszedłem, do uświetnienia zabawy przy-

Tow. prawidłowego myślistwa), Woroniec ks. Czesława Swiatopełk-Mirskiego, Różanka Augusta hr. Zamoyskiego, Miedzna (dzierż. przez Warsz. Tow. prawidłowego myślistwa), Podzamcze Jana hr. Zamoyskiego, Sterdyń p. Ludwika Górskiego, Kock hr. Żółtowskiego, Łochów Zdzisława hr. Zamoyskiego i inne;

w gub. *lubelskiej:* Łęczna p. Henryka Blocha, Kijany p. Stan. Sonnenberga. Żabia Wola p. Rohlanda, Zakrzew p. N. Budnego i inne.

Z guberni *litewskich* najlepiej zasiedloną przez zające jest gub. grodzieńska, słabiej — kowieńska i wileńska, a najsłabiej — mińska. *Wołyń* jest również ubogi w zające, a to samo da się powiedzieć o *Ukrainie* i *Podolu*, gdzie mimo olbrzymich przestrzeni doskonalej i dobrze uprawionej ziemi, zając trafia się względnie bardzo rzadko. W gub. *kijowskiej* można zacytować majątki Biało-Cerkiewskie hr. Maryi Branickiej, w których dzięki należytej ochronie, zwierzyna ta po lasach dębowych utrzymuje się w większych ilościach; na Podolu zaś słynie z polowań zajęczych majątek Nestoida p. Jurjewicza. Ubóstwo zajęcy na Ukrainie i na Podolu przypisać należy ostrym, często bardzo śnieżnym zimom, brakowi należytej ochrony, znacznym ilościom skrzydlatych drapieżników, które ciągną tędy na wiosnę i jesienią, a także rozpowszechnionemu jeszcze bardzo w tych krajach, zwyczajowi polowania z chartami.

Galicya, na ogół biorąc, mimo wysokiej kultury rolnej i ściśle obserwowanych praw łowieckich, jest uboższą w zające od Królestwa Polskiego; niemniej jednak zachodnia jej część i środkowa posiada majątki, w których zwierzyna ta jest należycie reprezentowaną, że przytoczę takie dobra, jak Zator hr. Maurycego Potockiego, Krzeszowice JE. hr. Andrzeja Potockiego, Balice ks. Dominika Radziwiłła, Wysock hr. Zamoyskiego, Dzików hr. Tarnowskiego i wiele innych.

Ubarwienie zająca podlega dość znacznym zmianom, stosownie do miejscowości, w jakiej zwierzyna ta zamieszkuje. Są zające bardziej rudawe, inne czarniawe, a inne wreszcie — siwawe. Uważałem np. na Ukrainie, że wiele zajęcy ma boki i uda silnie siwizną przyprószone, co je na ogół jaśniejszemi czyni od naszych zajęcy. Trafiają się też wśród zajęcy wyrodki albinistyczne i melanistyczne. Pierwszych z nich nie należy mieszać z bielakami, które stanowią zupełnie samoistny gatunek, gdy wyrodki białe lub białawe są poprostu wynikiem degeneracyi. To samo powiedzieć można o wyrodkach czarnych i czarniawych, które w bardzo rzadkich wypadkach trafiają się w kraju naszym. O ile pamiętam, Warszawski Gabinet Zoologiczny posiadał egzemplarz całkowicie czarnego zająca. W Muzeum zaś hr. Branickich we Frascati znajduje się okaz zająca, pochodzący z dóbr hr. Tomasza Potockiego w Kutnowskiem, a który posiada wierzch głowy czarny, a cały wierzch ciała i zewnętrzną stronę łapek — mocno czarniawe.

Wielkość zająca ulega też licznym, a nieraz bardzo poważnym zmianom. Zdaje się, że wogóle zające są mniejsze w tych okolicach, gdzie ich jest bardzo dużo, a jednocześnie jako inne prawo natury, przyjąć możemy, że na zachodzie zające (jak i inne zwierzęta) są mniejsze, aniżeli na wschodzie. I tak zając francuski jest mniejszy od niemieckiego, niemiecki — od naszego, a nasz — od ukraińskiego. Waga naszych zajęcy waha się między 9-u a 12-u funtami; zdarzają się jednak zające 14 funtowe, a w wyjątkowych razach — jeśli wierzyć Bobiatyńskiemu — dochodzi waga tej zwierzyny do 18 tu funtów.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n*).

Polowanie na łosie.

W środę, dnia 14 grudnia st. st. 1905 r. o godz. 10-ej rano wyjechaliśmy z domu, ja poprzedzie z Morozem, Rucio z Toniem za nami. Droga zrazu wyborna, gdyż gładka, utarta, psuła się w miarę, jakeśmy się naprzód posuwali; niebawem zjechaliśmy całkiem z toru, i zapuściwszy się w mroczne głębie gotyckiej nawy o wysmukłych filarach z sosen, jęliśmy pędzić przed siebie bez drogi, wypatrując śladów łosich, któremi była gęsto zapisana warstwa śniegu świeżo upadłego. Szły one w różnych kierunkach, zwikłane, pokrzyżowane, tworząc miejscami taką gęstą nić hieroglifów, że trzeba było całej biegłości i umiejętności Moroza w czytaniu onych tajemniczych znaków, ażeby czynić się z pewnością nie miała... ale niecierpliwiłem się i ja, bo zapadała noc i ciemniało.

Aż, nareszcie, poprzedzony iście godną króla, fanfarą, nadszedł.

Naprzód od lasu, jak brana w najniższych basach trąb i organów uwertura do opery Wagnera, potoczył się potężny ryk i rozdarł ciszę. Po jeziorze poszedł, jak grzmot, odbił się od przeciwnego brzegu, nawrócił i rozbity na echa, tonął gdzieś w głębiach uśpionego lasu — coraz dalej. Majestatycznie, chwiejąc potężną koroną, wolno, z godnością na polanie ukazał się on — król knieci.

Ścisnęło mię w piersiach, serce poczułem w gardle, aż oddech zaparło. To ten — przeleciało mi przez głowę i w febrze liczyć zacząłem odnogi na rogach. Jedna, dwie, trzy, pięć, sześć! Jeszcze raz — sześć!

To on! Wyszedł, nie spiesząc się, pewien, że choć przychodzi ostatni pierwszym będzie, gdy się ukaże. Postąpił parę kroków, przystanął, podniósł łeb i zaryczał znowu. A kiedy stał tak z rogami zarzuconemi na grzbiet, z wydętą, brodatą gardzielą i rozwartemi chrapami, z których szła para, był, jak obraz, wspaniały, jak uosobienie dzikiej siły i namiętności. I znowu potoczył się po jeziorze grzmot, znowu, jak hasła, wzywające do turnieju, roznosiły go po lesie, echa.

Miałem przed sobą najwspanialszą scenę, jaką w Europie dano oglądać myśliwemu! Jeleń przy stadzie, stary, brodaty byk na ryku!

Łanie wyciągnęły szyje, młode byki, buszujące wśród stada, usunęły się z respektem na stronę. Jak Cezar — przyszedł, odezwał się i zwyciężył.

Dziwnem zestawieniem pojęć, mimo febry, która mną trzęsła, mimo całego wzruszenia, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że patrzę na salę balową.

Niby zepsuty donżuan byk, pewien siebie, sunie do łań od niechcenia, z parteru, jakgdyby tłómacząc się, że wcześniej przyjść nie mógł, bo ma dziś właśnie dwa duże bale i cztery wieczory i właśnie prowadzić musiał mazura, który przeciągnął się długo. A trudno być punktualnym, gdy się jest tak pożądanym. Zmęczonym rzeczywiście przetańczonemi już kadrylami, musiał być bardzo, bo ledwie przywitał się z damami i obwąchawszy je kolejno, spokojny, że o niewierności niema tymczasem mowy, że wciąż jeszcze panuje w stadzie, jak sułtan, i pierwsze w tym bukiecie zajmuje miejsce, obwąchał stado raz jeszcze niedbale i najspokojniej położył się w trawie.

Przetłómaczone na język salonów, znaczyłoby to mniej więcej: „zmęczony trochę, poszedł do męskiego pokoju wypalić papierosa i odpocząć chwilę".

W. J.

(*C. d. n.*).

się wśród nich módz oryentować. Zatoczyliśmy kilka kręgów w mniemaniu, że zajeżdżamy drogę łosiom, ale one coraz dalej przed nami niknęły; Moroz naturalnie się wściekał, pluł, klął na czem świat stoi, i całą swą żółć wylał na biednego Cygana, który z wypieszczonego przezemnie wierzchowca, zdegradowany został na zwykłego, objazdowego konia. Smagał go więc niemiłosiernie biczyskiem, krzycząc zarazem „no, no", ilekroć zziajane, wyczerpane męczącą jazdą po korzeniach, wykrotach i łomaczach, konisko zatrzymywało się na chwilę, ażeby nieco odsapnąć.

Nie było w lesie przeszkód, którychbyśmy teraz nie brali, począwszy od drobnych odrośli, a kończąc na poważnych krzewach, oraz drzewkach w rodzaju gibkich brzózek, delikatnych sosenek, wszystkie one kornie głowę schylały przed zwycięzkim naszym pochodem. Lecz nam owe nieme hołdy nie wystarczały; trzeba nam było zdruzgotać, przełamać na dwoje one smukłe postacie, ażeby po utworzonym w ten sposób, sztucznym pomoście, dostać się na bardziej odkryte miejsce, skądby można było nowe tropy wyśledzić. Przejeżdżaliśmy po pod tryumfalne łuki wygiętych brzóz; niekiedy sanki nasze wciskały się w naturalne wrota, utworzone przez dwa drzewa, tak blizko siebie stojące, iż się zdawało, że albo się one z obu stron rozpadną, zostawiając nam wolny przejazd, albo też sanki nasze rozlecą się na drobne kawałki. Wówczas trzeba było zgrabnie nogami manewrować. Śnieg z otwartych podwoi nieba spływał od czasu do czasu gęstym puchem; to znowu z po za skłębionych obłoków perłowych, wylaniały się całe jeziora nieskalanego błękitu, tak mile oko pieszczące, że wzroku nie można było od nich oderwać.

Ponieważ nam się nie powiodło w Hruźliwcu, więc popędziliśmy na t. zw. Pański Ostrów; mój mąż odrazu tam zoczył kilka śladów, ale i tych łosi nie udało się nam odrazu objechać. Tymczasem słońce zaczynało się zniżać, ciskając snopy złocistych, ukośnych promieni; z po za sinych obłoków na widnokręgu ukazała się szeroka wstęga seledynowa, co puszczę objęła olbrzymim, jasnym pierścieniem; a myśmy wciąż gonili za uciekającymi łosiami. Wtem, o jakie sto kroków, zobaczyłem pomykającego wśród gąszczarów jednego z książąt tutejszych puszczy; w radosnem uniesieniu jęłam wołać: „Ruciu, Ruciu" i w ręce klaskać, ale Moroz szturchnął mnie porządnie raz, drugi, mówiąc pół-głosem: „Bądźcie cicho, pani"; zeskoczył z sanek, postawił nas na stanowisku, zaklinając mnie, abym się „nijako" nie ruszyła; sam zaś jął objeżdżać łosia. Po kwadransie usłyszeliśmy krótkie gwizdanie, na które odpowiedzieliśmy w ten sam sposób; z zarośli wysunął się Moroz markotny.

— Czort jego pobierz, to dwie łosze z łoszukami — zawołał, desperackim giestem ręce w dół opuszczając, i dodał:

— Szkoda, że ich z panią nie objechałem; byłaby się im przynajmniej napatrzyła. Jej Bohu, same one lezą do sanek.

Tfu, tfu, tfu, splunął trzy razy i głową potrząsnął z niezadowolenia; miał w tej chwili minę zagniewanego fauna z tą rzadką, siwą bródką i pergaminową, żółtą twarzą, pooraną w głębokie brózdy. Kazał mi znowu wsiąść na sanki obok siebie, zapalił krótką fajkę i, nie zważając na moją obecność, jął puszczać w mą stronę gęste kłęby wcale nie woniejącego dymu, ja zaś nie śmiałam protestować i w cichości ducha znosiłam tę pokutę, wiedząc dobrze, iż jeśli się w jakikolwiek sposób narażę strzelcowi, raz na zawsze będę musiała się rozstać z nadzieją towarzyszenia panom na polowania.

Na Mlineckoj popełniłam wielki błąd, towarzysząc Morozowi w objeżdżaniu, gdyż łoś przemknął pomiędzy Ruciem a Toniem, który do niego strzelił i ranił. Idąc za śladami koni i zbierając pęczki sierci po drodze, doszliśmy aż do Głupiego Mchu; mrok już zapadał. Pomimo tego, najwyraźniej spostrzegliśmy o jakie dwadzieścia kroków, rannego łosia, stojącego na miejscu, jak wryty, tak, iż się zdawało, że on już naszą zdobyczą; tymczasem, gdy Moroz jął wymachywać moją fuzyjką, nie mogąc wepchnąć do niej naboju, i wykrzywiać twarz w różne potworne grymasy, łoś dalej popędził, a że się już ciemno przez ten czas zrobiło, więc wprost do domu podążyliśmy.

Nazajutrz, czyli 15-go grudnia, już o 9-ej byłam w pełnym, myśliwskim rynsztunku. Ten widok źle usposobił Moroza: „Nic nie będzie z tego polowania, jej Bohu!" jął w kółko powtarzać, dając do zrozumienia, że moja na niem obecność nie jest bynajmniej pożądana; widząc jednak moje niewzruszone postanowienie brania udziału w danej wyprawie, dodał po chwili: „Ale woźmicie przynajmniej innu strzelbu, bo jak ja zacznę do tej jednolufówki nabijać patrony, to tyle zejdzie czasu, że i łoś ucieknie". Tak mnie obraziły dąsy Moroza, że zamiast z nim jechać, siadłam na objazdowe sanki Tonia. Ranek był cudny, niebo przeczyste, droga wyśmienita, gdyż w nocy śniegu napadało. Udaliśmy się odrazu na to miejsce, gdzieśmy w wilię łosia zostawili; okazało się jednak, że on przez noc wyszedł z tego ostępu i przeszedł do innej miejscowości, o kilka stai odległej, a zwanej Józwinki. Tam więc stanęliśmy na stanowisku; wtem przybiega Moroz, wymachując rękami, i woła nas: „Chodźcie panowie prędziutko, łoś leży w chwojniku, silno ranny, ale żyje; niech go pani dobije". Pędziliśmy we wskazanym kierunku, wyskakujemy ze sanek, Moroz zabiega drogę biednemu łosiowi, który jest tak silnie ranny, że się z miejsca nie rusza. Tyłem jest od nas odwrócony i z odległości, z której na niego patrzymy, wygląda jakby duża krowa. Po drugim moim strzale łoś zerwał się na równe nogi w całym swym przepychu, ukazując przepięknie wyrzeźbione rogi, poczem zachwiał się i runął ciężko na ziemię, biały, nieskalany śnieg farbując krwi posoką. Nigdy nie zapomnę tych gasnących oczu, w których się malowała taka bezbrzeżna rozpacz, takie bezdenne cierpienie; to też, pomimo żyłki mojej myśliwskiej, muszę przyznać, że człowiek jest z natury swej okrutny, jeśli znajduje przyjemność w pozbawianiu życia tak pięknych stworzeń.

Lela Kieniewicz.

Bryniów, 25 stycznia 1906 r.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

19 sierpnia. Zajęłam się ptakami. Misyonarz odnalazł dziś piękny okaz antylopy Granta, ranionej dnia wczorajszego przez Guy'a. Mąż mój wraca, zabiwszy servala (duży gatunek dzikiego kota) i zająca, które rulował śrótem Nr. 00 prawie w dublecie. Nasi myśliwi ucierpieli od deszczu jeszcze więcej, aniżeli my. Guy widział znów te same trzy oryx'y, lecz z powodu znacznej odległości (200 metrów) chybił do nich. Czwartego brak było w tem stadku. Natomiast mamy dzisiaj jeszcze na rozkładzie piękny okaz wielkiej antylopy sing-sing (*Cobus defassa*), którą nasi tragarze z trudnością wyciągnęli ze strumienia, dokąd poszła wydać ostatnie tchnienie.

20 sierpnia. Guy z misyonarzem udają się, jak zwykle, na wycieczkę myśliwską. Pierwszy powraca misyonarz, ubolewając, że widział nosorożca z piękne-

mi rogami, do którego na nieszczęście Guy nie mógł strzelać. Mąż mój przybywa o 4-ej z zamiarem wyruszenia po zjedzeniu lekkiej zakąski. Tropiąc postrzelonego kota, spotkał się z nosorożcem o słabych rogach, który nań szarżował, lecz nie strzelał do niego, mimo panicznego strachu Kasaby, który trząsł się na całom ciele. Według zdania Guy'a, nosorożec nie jest straszny, jeśli tylko niema sprzyjającego wiatru, gdyż łatwo jest wtedy uniknąć szarży.

Oglądając antolopy Thomsona i Granta, zabite tego dnia, przychodzi nam na myśl zaciągnąć jedną z nich nad brzeg strumienia, jako zanętę na lwy, które misyonarz słyszał ubiegłej nocy. Wykonywamy to wraz z Henrykiem, co mi daje sposobność widzenia po raz pierwszy, papirusów. W tymże czasie odgrywała się scena epiczna w obozie. Wakambasy, wybrani dnia tego na tragarzy, uznając widocznie chwilę za nieodpowiednią, odmówili posłuszeństwa. Guy kazał im skonfiskować ich kołdry i ryż, i pobiegł ku nim ze swym „kikobo". Wszyscy, z wyjątkiem jednego, umknęli, ale za to ten jeden miał się z pyszna. Poczem Guy wyruszył wraz z misyonarzem o godzinie pół do 5-ej. W dwie godziny potem usłyszeliśmy radosną fanfarę, zwiastującą śmierć jakiegoś zwierza, a wkrótce potem myśliwi opowiedzieli nam swoje przygody.

„Ponieważ nie znaleziono tropów nosorożca w miejscu, gdzie je widział poprzednio misyonarz, postanowili spróbować szczęścia na oryx'ie, którego spostrzegli w oddali; lecz podchodząc go, ujrzeli nagle... dwa nosorożce na jakie 500 metrów ze złym wiatrem. Zaczęli więc okrążać je, aby się zbliżyć na 100 metrów z dobrym wiatrem. Guy przyjrzał im się przy pomocy lornety i spostrzegł, że większy ma piękne rogi, drugi zaś mniejszy, miał rogi niewielkie, ale grube. Oba te gruboskóry łamały krzaki, aby się dostać do młodszych, delikatniejszych pędów, i w ten sposób przechodziły od jednego krzaka do drugiego. Guy zbliżył się na 40 metrów, nie zachowując żadnych środków ostrożności, a mimo to zwierzęta nie zdradzały najmniejszego niepokoju. Wówczas Guy strzelił do większego. Zwierz ruszył kłusem ku myśliwym, lecz druga kula ścięła go z nóg i zwierz runął, jak martwa masa. Towarzysz jego zaczął biegać wokoło, wydając groźne pomruki. Ponieważ strzelony nosorożec unosił jeszcze zlekka głowę, więc mu Guy posłał jeszcze jedną kulę w krzyże, która mu zgruchotała kręgosłup (pierwsza z trzech kul była niedobra, gdyż przeszyła brzuch, zatrzymując się pod skórą z przeciwnej strony). Nasi myśliwi, bojąc się, że ich noc zaskoczy, a ciekawi zobaczyć zblizka swoją zdobycz, zawołali na swych trzech tragarzy, a wówczas z głośnym krzykiem, trzymając broń w pogotowiu na wypadek szarży, rzucają się naprzód. Znajdują się zaledwie o 20 metrów, gdy dopiero żywy nosorożec decyduje się odejść nieco, a myśliwi, mając go ciągle na oku, mogą wyegzaminować głowę zabitego, jego płeć (samica) i strzały. Ongwatocha nie zaniedbuje zrobić tak drogiego Mahometowi... cięcia na gardle".

Myśliwi przynoszą z sobą ogon, który mogłyby nadwyrężyć hyeny.

Całe to zdarzenie dowodzi tylko, że nosorożec nie jest straszny, jeśli się tylko jest z dobrym wiatrem. Na rozkładzie w d. 20 mamy oprócz nosorożca: 6 antylop Thomsona (samce i samice), 2 antylopy Granta (samce) i 2 steinbucki (samice).

21 sierpnia. Guy udaje się nad strumień, aby sprawdzić, co się stało z antylopą, położoną na zanętę, a znalazłszy ją nietkniętą, przychodzi do nas w chwili, gdyśmy byli zajęci preparowaniem nosorożca. Spotkaliśmy dziś jakieś zwierzę nieznane, ni to hyena, ni szakal; był to zapewne lykaon[1]). Miał on jedno ucho nadgryzione. Wzięliśmy się do ćwiartowania nosorożca i tym razem, skóra pocięta pod nadzorem misyonarza, zostaje spreparowaną doskonale. Nosorożec ten jest to wielka samica na zlęźeniu; wymię jest nabrane mlekiem. Wyciągamy już kompletnie sformowanego noworodka, który nam daje drugą skórę.

Wracam do obozu, zabiwszy po drodze dwa drozdy błękitne z kasztanowatem gardłem (*Spreo superbus*), jednego srokosza z czerwonym czubkiem i jednego prawdziwego wróbla. Idąc, spotkałam dziesiątki antylop Thomsona.

Guy tymczasem udał się na wycieczkę i wraca o pół do 3-ej, dobiwszy nareszcie swego oryx'a (samca). Miał on na grzbiecie głęboką obcierkę, jeszcze niezagojoną, zapewne od kuli z d. 17 go sierpnia. Rana ta nie była śmiertelna, gdyż pocisk naruszył tylko zlekka krzyż pacierzowy, lecz dzięki tej kuli, biedny zwierz zrobił tak szalony skok w górę. Oprócz tego, Guy chybił do dwóch babuinów i zabił jedną antylopę Thomsona.

22 sierpnia. Wyruszamy z obozu o g. 8-ej rano, mając na lewo Pacey Swamp, a na prawo las, złożony z kolczastej roślinności. W jaskrawem słońcu błyszczą, się jak szafiry, metalicznie ubarwione drozdy, które stadami kręcą się tu i tam. Ciągły widok antylop Thomsona, Granta, zebr, szakalów i małp, sprawia nam nie małą rozrywkę podczas marszu. Naraz słyszymy straszne krzyki po za sobą: to nasza karawana została zaatakowaną przez dwa nosorożce. Ludzie, niosący naszą łódkę, tak gwałtownie ją porzucili, że pękła w dnie jedna z desek. Spostrzegamy w dolinie przed sobą stado zebr, złożone z jakich 100 sztuk przynajmniej, a dalej jeszcze widzimy posterunek Rumuruti. Jest to pierwsza osada ludzka, jaką spotykamy od Naivashy, gdyż dotychczas przecinaliśmy krainę, zamieszkaną jedynie przez nomadów.

Przybywszy na miejsce, znajdujemy tu obozowisko pp. Bradley i Turner, dwóch bogatych amerykanów. Udajemy się do siedziby p. Gilkison'a, gdzie biedny misyonarz w gwałtownym paroksyzmie febry, literalnie pada na fotel.

P. Gilkison prosi nas koniecznie na śniadanie, w oczekiwaniu karawany, która ma rozbić obóz na brzegach Guaso-Narok, w pobliżu mostu, prowadzącego do przyszłego parku Rumuruti, dziś jeszcze w stanie dziewiczego lasu. Gdyż trzeba wiedzieć, że ten posterunek Rumuruti założony dopiero został w lutym r. b. O godzinie 5-ej wracamy na herbatę do p. Gilkison'a, gdzie spotykamy się z p. Bradley'em, przybyłym przed 15 tu dniami również z Pacey-Swamp'u. Przebywanie strumieni sprawiło mu wiele kłopotu z powodu krowy i cielęcia, które prowadzi wszędzie za sobą.

P. Bradley radzi nam koniecznie udać się do źródła rzek Guaso-Narok i Guaso-Nyro, gdzie widział 4 lwy, dwie antylopy *Oryx callotis* i eland'y całemi tuzinami. Według niego, nie powinniśmy kierować się nad jezioro Baringo: on sam nie wie, czy się tam uda..., bo jak mówi, zwykł się kierować natchnieniem danej chwili, a przytem dodaje, że swoboda, z jakiej korzysta, jest rzeczą cudowną! Jest on kolekcyonerem rogów; ma już wszystkie z Ameryki, a teraz „robi" w afrykańskich rogach. Ma aż pięć aparatów fotograficznych, a pomiędzy niemi veraskop; prawdopodobnie ujrzymy jego klisze u Richard'a.

Powróciwszy do siebie, przyjmujemy żony Masekonde'a, jednego z największych szefów Olbolosatu. I on sam znajduje się tu, opędzając z godnością, przy pomocy ogona zebry, muchy, które go masami obsiadają, zanęcone pomadą, używaną przez wszystkich przyzwoitych Massajów. Niewiasty przynoszą nam mleka i pragną gwałtownie ujrzeć mnie. Pierwszą Europejkę widziały przed niedawnym czasem w osobie pani Hobley, żony podkomisarza z Naivashy; ja będę drugą. Zapowiadamy im na jutro wspaniałe podarki.

(*C. d. n.*).

[1]) Lykaon (*Lycaon pictus*) — zwierz pośredni między hyeną a psem. (*Przyp. tłom.*)

DZIEŁO SCHILLINGSA
o zwierzynie na wolności.

(Streszczenie).

(Ciąg dalszy).

Dla wielu osób, szczególnie mających oczy dalekowzroczne, robi pewną trudność ostre nastawienie na matówce. Autor radzi im posługiwać się lupą, która pożądaną będzie przy fotografowaniu małych stworzeń.

Zamiast zwykłego sukna czarnego używać można do zakrycia matówki sukna gumowanego; zabezpiecza ono od deszczu. Kolor czarny nie jest niezbędnym, można użyć materyału szarego lub bronzowego.

Przy nastawianiu na większe odległości można posługiwać się przysloną w celu równomiernego rozłożenia światła na całej powierzchni płytki. Przy małych odległościach nastawiać trzeba na punkt, znajdujący się na danej odległości, i przysłaniać o tyle, żeby przednie plany były wystarczająco ostre.

Co do płytek, pamiętać trzeba, że najczulsze z nich najłatwiej pokrywają się dymkiem. Nadają się one szczególnie do krótkich zdjęć migawkowych. Płytki wrażliwe na barwy używać trzeba głównie, jeśli obraz fotografowany zawiera dużo zieleni. Płytki izolarowe nadają się do zdjęć pod światło, np. przy fotografowaniu ptaków, wzlatujących na tle jasne go nieba.

Wszystkie zdjęcia powinny być porządnie zapisane w odpowiedniej książeczce. Kroniczka ta zawierać powinna wzmianki co do miejsca, czasu, przedmiotu fotografowanego, jego odległości, ruchu, czasu trwania naświetlenia, aparatu, objektywu, migawki i t. p. Płytkę trzeba opatrzyć odpowiednim numerem, przed wywołaniem, najlepiej wykonać to w rogu płyty ołówkiem na emulsyi lub dyamentem na szkle.

W razie wątpliwości, czy płytki, znajdujące się w danej kasecie, były już naświetlone, poczytywać je należy jako takie, ile że w podobnym wypadku, co najwyżej, traci się jedno zdjęcie, a przeciwnie, naświetlając po raz wtóry, już eksponowaną płytkę, poniesiemy stratę podwójną. Przed każdą wycieczką fotograficzną nie zawadzi obejrzeć dobrze swój aparat, i to zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz, oczyścić objektyw, o którego czystości łatwo się przekonać, patrząc przezeń pod światło. Zaopatrzyć się też wypada w małe cążki, nieduży śrubociąg, kawałek czarnego, gumowanego papieru i t. p.

Ponieważ większość zdjęć ze zwierząt robi się tylko przypadkowo, zawsze przeto wypada być do naświetlenia gotowym i nosić aparat z naciągniętą migawką, otwartą kasetą i nastawiony na odległość nieskończenie daleką, zawsze bowiem liczyć na to trzeba, że się napotka zwierzę, w odległości raczej dalszej, niż 10 m. Przy fotografowaniu zwierząt lękliwych trzeba się ukryć odpowiednio lub zamaskować przyrząd przy pomocy gałęzi i t. p.

Unikać trzeba bezpotrzebnego kręcenia się przy nastawionym już aparacie, żeby go nie poruszyć. Aparatem statywowym posługiwać się można z blizka, wiedząc, iż dane zwierzę odwiedza pewne miejsca, należy fotografować z dużej odległości. Stworzenie, w ruchu będące, fotografujemy tylko przy użyciu migawki, rzecz prosta, przy właściwych warunkach oświetlenia. Wogóle wszelako lepiej robić zdjęcia na czas i raczej naświetlać dłużej, niż za krótko, ile że odpowiednie traktowanie płytki prześwietlonej zawsze da lepsze wyniki, niż niedoświetlonej.

Najczęściej fotografujemy zwierzęta w wymiarach zmniejszonych, małe wszelako stworzenia, jak np. pająki, motyle i t. p. lepiej robić w wielkości naturalnej, a jeszcze drobniejsze w powiększeniu.

W jaki sposób dokonać w danym wypadku zdjęcia, o tem decydują zawsze poszczególne okoliczności. Przeważać będą zdjęcia zwykle przy świetle dziennem. W wielu razach użyć wypadnie teleobjektywu, np. w górach, przy napotkaniu kozic, kozłów skalnych, orłów i t. p. Szczególniej doniosłe znaczenie mieć może teleobjektyw przy badaniu lotu ptaków, zdjęcia takie będą miały cechy raczej sylwetek, nigdy ich wszelako nie będzie za dużo.

W razie braku światła dziennego, trzeba będzie użyć proszków wybuchowych: nie można się bez nich obyć przy fotografowaniu życia nocnego zwierząt. Zadanie fotografa w podobnych przypadkach polega na najściślejszem przygotowaniu przyrządów i zabezpieczeniu, żeby ręka niepowołana nie zepsuła wszystkiego. Obecność jego w blizkości aparatu jest nietylko niepotrzebna, lecz nawet szkodliwa, często bowiem zwierzęta dzikie, dzięki doskonałemu ich węchowi, mogą odkryć obecność człowieka.

Nawet znakomite zdjęcia Schillings'a robione były w jego nieobecności; huk, towarzyszący wybuchowi, zawiadamiał go, że należy opuścić obóz i zabezpieczyć płytkę. Zamiast tego możnaby urządzić dzwonki elektryczne, przy których albo wybuchający proszek, lub też migawka zamykałaby prąd. Ilość proszku, jaka jest potrzebna do dostatecznego naświetlenia, da się oznaczyć drogą doświadczalną. W pewnych przypadkach wypadnie użyć bodaj 500 gr. mieszaniny. Dla zdjęcia małych zwierząt zapalić można proszek na ziemi; im zwierzę jest wyższem, tem wyżej trzeba wybuch wywołać.

Z większej odległgści, niż 5 m, fotografować nie należy. W wielu razach pożytecznem być może współczesne użycie światła dziennego ze sztucznem. Usilnie starać się trzeba o to, żeby zmusić zwierzęta do samofotografii. Jak to zrobić, mówiliśmy już powyżej. Tutaj tylko zwrócimy uwagę, że można to uskutecznić zarówno za dnia, jak i w nocy. Jedyny warunek, żeby puszczenie w ruch przyrządu nie wymagało wielkiego wysiłku. Maleńka myszka może np. przegryźć nitkę, posmarowaną przynętą, i przez to wprowadzić w ruch migawkę.

Otrzymane płytki najlepiej, o ile możności, zaraz wywoływać, aby przekonać się o wynikach. Kiesling zaleca głównie wywoływanie powolne i w tym celu, jeśli ma niewiele zdjęć do wywołania, posiłkuje się roztworem rodinalu (1 : 500), bez dodania bromku potasu, w przeciwnym razie używa glicyny. Zdjęcia bardzo szybkie lub też otrzymane przy użyciu teleobjektywu wypadnie wzmocnić; przystępować do tego należy bardzo ostrożnie i, jeśli rzecz dotyczeć będzie negatywu bardzo cennego, lepiej zrobić duplikat i ten wzmocnić lub też użyć przyrządu powiększającego. Za pomocą otrzymanych w ten sposób (po bliższe szczegóły odsyłamy czytelnika do oryginału) zdjęć, mamy nadzieję, że uda się zastąpić w nauce o zwierzętach dotychczas używane rysunki. Ponieważ obrazy te mają mieć charakter dowodów naukowych, wszelki przeto retusz będzie wprost szkodliwym. Dobre zdjęcia pozwolą też przy pomocy odpowiednich równań oznaczyć rozmiary zwierzęcia, jak również i odległość, z jakiej fotografia zrobioną została (wysokość lotu ptaków)".

J. Kamieniusz.

(C. d. n.).

Dział myśliwski na wystawie Norymberskiej.

W Norymberdze odbyło się niedawno otwarcie wystawy rolnej, na której wyróżniły się korzystnie działy: leśny i myśliwski. Szczyt halli łowieckiej zdobi rzeźbiona para walczących jeleni; nad wejściem

widnieją potężne rogi; obramowanie budynku jest również przeplatane głowami jeleniemi.

Dział leśny zawiera botanikę, entomologię, zniszczenia przez szkodliwe owady, działanie atmosferyczne, techniczne obrobienia drzewa i t. d. Nas jednak interesuje głównie część myśliwska.

Jest tutaj przedewszystkiem znakomicie spreparowany dwunastak, dalej nadzwyczaj obfita kolekcya bażantów, oswojonych w Bawaryi, obejmująca wszystkie gatunki i odmiany. Są tutaj pisklęta pierwszej młodości, starsze i zupełnie stare; bażanty szlachetne, obrożne i królewskie, albinosy, odmiany barwne i kury o upierzeniu koguciem. Pewna liczba preparatów jaj wskazuje rozwój embryologiczny, a karta poglądowa hr. von Pocci—rozprzestrzenienie bażantów w Bawaryi.

Z lewej strony jest zbiór rogów gemzowych. Nader interesujący jest zbiór zrzuconych rogów oswojonego jelenia, od czasu, gdy był śpiczakiem do przemiany w dwunastaka. Inna grupa przedstawia liczne gatunki ptaków, wysiadujących jaja na ziemi, razem z jajami. Dalej widzimy głuszce i słonki z ich gniazdami skromnemi. Obok umieszczono szkodniki, niebezpieczne dla jaj, — gronostaje i wiewiórki.

W przyległej sali jest szereg trofeów, zdobytych w Bawaryi w przeciągu ostatnich lat dziesięciu. Są to niezwykle silne rogi jeleni 20, 18, 16 i 12-nastaków, liczne łopaty kapitalne danieli, oraz rogi kozłów. Do trofeów należy także dzik wypchany, głuszec grający, grupa cietrzewi i wreszcie okazy kłów odyńców, oraz szereg fotografii zwierząt na wolności.

Jedna ściana jest cała zawieszona olbrzymiemi rogami kozłów o najrozmaitszych odmianach, jak również rogi mylkusów. Jeden róg przypomina wielkością widły chłopskie. Obok są spreparowane głowy białego i perukowatego kozła, głowa, której rogi składają się z trzech odnóg, wreszcie rogi sarny-kozy.

Osobna grupa przedstawia sposób polowania na zęby górskie. Dalej jest olbrzymia kolekcya spreparowanych ptaków śpiewających, drapieżników nocnych i t. d.

Ze zbiorów rządowych zaciekawia, dobrze zakonserwowany szkielet niedźwiedzia jaskiniowego, oraz dwie czaszki takich niedźwiedzi.

W dziale przemysłowym są okazy fabryki prochu Hasloch oraz różne żelaza i pułapki. Firma czekoladowa wystawiła kolosalnego niedźwiedzia z dwoma młodemi; firma pokarmu dla dzieci—prawdziwego niedźwiedzia brunatnego, wypchanego, który, siedząc, trzyma swe „bobo" na kolanie i karmi je flaszką. — Do tego działu zaliczamy wyroby rogowe, bardzo tanie. Popisują się także rozmaici preparatorzy, prawdziwi artyści w swoim fachu. Ciekawa jest grupa młodych, które pod przewodnictwem liszki-matki uczą się dusić i rozdzierać kury domowe.

O.

W PÓŁNOCNEJ PERSYI.

(*Ciąg dalszy*).

Zimny pot występuje mi na czoło, góry przedemną poruszać się zaczynają, krążą w jakimś szalonym tańcu, muszę chwycić się za kant skały, by zupełnego nie dostać zawrotu głowy i nie runąć w przepaść, jak ów kamień z pod mej nogi. Znów podtrzymują mnie dwa silne ramiona mych przewodników i podciągają wyżej. Bezwiednie prawie postępuję za nimi i wydostaję się na więcej obszerny kant skały pod wysoką ścianą granitową, w poprzecznym kierunku naszej drogi biegnącą. Tu mój przewodnik zatrzymuje się, podpełza na czworaka do szczeliny, znajdującej się w owej ścianie, i ostrożnie wysuwa swą głowę kudłatą po za jej krawędź, a nie dostrzegłszy nic szczególnego, cofa się, a pociągając mnie za sobą, idzie dalej. Po krótkim marszu, gdzie więcej pełzamy, niż krokiem idziemy, znów tenże wykonywa manewr, znów się cofa i dalej ostrożnie posuwa, aż wreszcie, o kilkadziesiąt kroków, z podwojoną ostrożnością wychyla się znów za krawędź ściany. Teraz nie naprożno! Z rozpromienionem obliczem gestami daje mi znać, bym wyjrzał przez szczelinę na drugą stronę, co też czynię chętnie, bo przyznać muszę, że cała ta historya już przykrzeć mi się zaczyna i w duszy przeklinałem całe to polowanie i mych, w niczem niewinnych towarzyszów. Podpełzłem do owego otworu, gołą głowę wychylam poza krawędź ściany i widzę tuż za skałą na niewielkiej polanie stado jakichś rogatych, płowych zwierząt, spokojnie się pasących. Jeden osobnik, kolos prawdziwy, ze wspaniałemi rogami, z podniesioną w górę głową, zdał się wsłuchywać, — był to zapewne najstarszy samiec, straż trzymający w stadzie. Lecz oto właśnie w chwili, kiedy najwięcej potrzeba mi krwi zimnej i rozwagi, owłada mną ta przeklęta gorączka myśliwska, której nigdy wyzbyć się nie mogę i która mnie tylu najpiękniejszych pozbawiła w mem życiu trofeów. Czuję, jak krew gorącym strumieniem napływa mi do głowy, skronie silnie pulsują, w uszach stuk, oczy nabiegają obfitą łzą, nogi gną się podemną, a ręce, jak w owej naukiańskiej febrze, mi się trzęsą. Już dalej nie panuję nad sobą, nie rozróżniam już pojedyńczej sztuki od całego tabunu, więc podnoszę się raptownie, wyskakuję z za skały, podrzucam swego „Hollanda", jakgdyby o strzał do bekasa chodziło, i palę w całą kupę dwukrotnie. Nawet moi dzikusy nie śmieliby zaprzeczyć, żem strzelał z całą werwą, i ogromnie głośno i że kule ze sztuczną siłą uderzyć musiały w skały - niestety, chybiając zwierza...

Skutki były opłakane, jak szanowny czytelnik domyślił się zapewne: stado najzdrowsze uszło do pobliżkich wąwozów i już więcej nie pokazało się. Za mój iście żakowski postępek byłem szyderczemi uśmiechami mych towarzyszów dostatecznie ukaranym, a dziś po upływie już tylu czasu, na samo wspomnienie o mem zbłaźnieniu się, rumienię się, jak dziewica przy pierwszym pocałunku kochanka.

Odwrót po przeciwległej stronie góry nie był już dla mnie tyle męczącym, droga była równiejszą i nie tyle niebezpieczną, szliśmy więc raźniej i na obszernej pochyłości spotkaliśmy to parami, to w większych lub mniejszych tabunach, piękne antylopy-dżejrany. Ostrożne te zwierzęta, trzymające się górzystych płaskowzgórz, nie dopuszczały nas na wystrzał do siebie; raz tylko przebiegły na możliwy do strzału dystans, skorzystałem więc z tego i posłałem im kilka kul, poczem jedna sztuka zaczęła się ociągać, pozostawać w tyle, aż w końcu osłabła i stała się mym łupem. W oczach tutejszych myśliwych podratowałem cokolwiek mą myśliwską reputacyę, więc i nie czułem się tak przygnębionym i zwykłą odzyskałem wesołość.

Dni następnych próbowałem jeszcze zażyć polowania na górskie, czyli skalne kozły, lecz te, trzymające się najniedostępniejszych urwisk górskich, niełatwe są do zdobycia i spotkanie się z niemi do rzadkich tylko można zaliczyć wypadków. Uważałem też, że o wiele dla mnie będzie korzystniejszem, zamówić kilka skór baranich i kozich u myśliwych tutejszych, co też w szybkim czasie było mi dostarczone, i to za nader niewysoką cenę. Zdobyłem również kilka par wspaniałych rogów archarów (*Ovis argali*) i kozich (*Capra aegagrus*) i na tem zakończyłem te moje zbiory i niebawem wyruszyłem z aulu. Okalając najwyższy grzbiet gór Arterabadzkich, przeciąłem je w niższym stopniu i po dwudniowym marszu już znajduję się po drugiej ich stronie.

Kraj, odkryty teraz przed nami, przedstawia jakby olbrzymie schody, których stopnie tworzą bezbrzeżne, górskie równiny, stopniowo zniżające się ku południowi i kończące się, okiem nieprzejrzaną, pia-

sczystą, żółtą płaszczyzną. Cała ta okolica nosi zbliżony do pustyń turkiestańskich, charakter. Te same wydmy, jedynie kolczastym cierniem i tragakantem gdzieniegdzie pokryte, poorane i popękane od piekących nielitościwie promieni słonecznych, nigdzie nie widzi się żadnej zieloności, tylko spalone, siwe piołuny sterczą nad drogami i służą za kryjówkę jaszczurkom i sójkom saksaulnym, które ciekawie nam się przyglądały. Pod palącemi promieniami południowego słońca posuwamy się bardzo leniwie, a brak wody srodze nas trapi. Wargi do krwi nam pękają, oczy palą ogniem, język zaschł w ustach zupełnie, pot strumieniem z nas się leje. Najgorzej memu opasłemu Kaferowi, który topi się od upału, przeklina godzinę, w której go matka na świat wydała, i ostatkiem sił popędza biedne koniki. Nad samym wieczorem dopiero spotykamy pierwszą studnię, lecz jakież było nasze rozczarowanie, gdy w niej, prócz cuchnącego błota i zdechłych jaszczurek, nic więcej nie znaleźliśmy. Idziemy dalej i około północy docieramy do następnego etapu i tu rozkoszujemy się dostatkiem wody i resztę spędzamy nocy.

Wł. Czerniejewski.

(*C. d. n.*)

Polowanie na wydry.

(*Ciąg dalszy*).

Jako zwierzę niezwykle zwinne i cięte, wydra długo się może bronić psom. W wodzie zwykle chwyta psa za policzek i wciąga mu łeb pod wodę. Pies z bólu musi się poddać przymusowemu nurkowaniu, a po wyswobodzeniu się, na długo traci ochotę bliższego atakowania tak niebezpiecznego przeciwnika. O zwinności wydry i ostrości jej zębów najlepiej może zaświadczyć fakt, że psy, mogące w pojedynkę utrzymać i zadusić wydrę, trafiają się nader rzadko, a imiona ich uwieśmiertelniają dzieła, traktujące o tego rodzaju łowach.

W taki sposób odbywają się polowania na wydry przy normalnych warunkach. Bardzo często jednak trafiają się różne niespodzianki i komplikacye, wymagające dla usunięcia ich, dużego zapasu doświadczenia i pomysłowości.

Zdarzyć się może np., że wydra, szczególniej stara i doświadczona, opuści legowisko, zanim ją psy zawietrzą, i niepostrzeżona, ucieknie wodą, nie wychodząc na brzeg na długości wiorsty, a nawet dwóch. Myśliwi, nie znajdując żadnych śladów na dłuższej przestrzeni, mogą przypuszczać, że zostawili gdzieś z tyłu zwierzę tak dobrze ukryte, iż psy nie zawietrzyły go, i wtedy tracą czas na próżne poszukiwania.

Innym znów razem, co jednak zdarza się bardzo rzadko, wydra znajduje jakąś norę z wyjściem, zakrytem przez wodę, ale otrzymującą przez szczeliny dostateczny zapas powietrza, i tam się ukryje. Wyparować ją z takiego schronienia można tylko trzema sposobami:

1) albo przez zatamowanie rzeczki poniżej, podniesienie przez to horyzontu wody i zalanie nory;

2) albo przez zatamowanie wody powyżej, obniżenie przez to horyzontu wody, aż do wejściowego otworu, i wpuszczenie tam jamników;

3) albo nareszcie przez sondowanie świdrem brzegu, dopki się nie natrafi na jamę.

Jeżeli nie można użyć żadnego z wymienionych trzech sposobów, można próbować czwartego. Należy mianowicie, narobiwszy poprzednio dużo hałasu, oddalić się z psami zupełnie na znaczniejszą odległość. Nad rzeczką, o paręset kroków dalej w kierunku wędrówki zwierzęcia, pozostawia się tylko jednego wartownika, który powinien dobrze się ukryć, nie poruszać się i nie palić. Wydra, zaniepokojona poprzednio w swoim spoczynku i tem zrażona do miejsca, zwykle chce skorzystać z ciszy i spokoju, i znaleźć sobie opodal nowe legowisko. Ale na to trzeba czekać długo, czasami parę godzin. Gdy wartownik spostrzeże płynącą wydrę, powinien przepuścić ją koło siebie i dopiero wtedy dać sygnał, poczem dalsze poszukiwanie wydry odbywa się zwykłym trybem. Sposób ten jest prawie niezawodny, jeżeli mamy do czynienia ze starem zwierzęciem; młode niechętnie opuszczają schronienie, które zdaje im się bezpiecznem.

Nie sposób jest opisać wszystkich niespodzianek, jakie mogą spotkać polujących na wydry. Dla wykazania, jak wiele potrzeba doświadczenia i wytrwałości dla rozwiklania różnych, zdarzyć się mogących komplikacyj, przytoczę parę przykładów z praktyki hrabiego de Tinguy.

Francuski sportsmen w następujący sposób opisuje jedno z takich polowań:

Działo się to w departamencie Maine et Loire, około lasu Verins, blizko źródeł rzeki Lys, o trzydzieści kilometrów od psiarni, z której wyjechałem bardzo wczesnym rankiem, gdyż było to w połowie lata. Znalazłem trop i rozpocząłem dalsze śledzenie. Tropy, trudne do rozpoznania na kamienistym gruncie, wskazywały przejście w obydwóch kierunkach, ale niepodobna było rozróżnić, które były świeższe. Trzeba więc było szukać w obydwie strony. W górze doszliśmy do małych i zupełnie czystych stawów, w których wydra nie mogła się ukrywać; w niższej części rzeczka była miejscami zupełnie wyschnięta, wydra więc nie mogła przejść tamtędy w nocy, nie zostawiwszy śladów. Dzień zeszedł nam na poszukiwaniach bez żadnego rezultatu.

Następnego dnia przekonaliśmy się, że wydra znowu przechodziła temi samemi miejscami nad rzeczką, tylko że odwiedziła drugi staw. To jednak nie wiele nas objaśniło, gdyż i w tym stawie ukrywać się nie mogła. Po ścisłem zbadaniu brzegów, postanowiliśmy przeszukać parę rowów, w których potężne karcze mogły służyć za wygodne schronienie dla wydry. I tam zawód.

Trzeciego dnia takie same poszukiwania nad rzeczką i takież same zawody. Postanowiłem jednak, za jakąbądź cenę, wyjaśnić tę zagadkę.

Wyruszyłem o północy, wziąwszy z sobą dwóch ludzi i cztery bardzo doświadczone psy, którym kazałem przywiązać dzwonki, żeby w ciemności zdawać sobie sprawę, gdzie się znajdują. Noc była tak ciemna, że zaledwie mogliśmy oryentować się. Udaliśmy się do miejsca najniższego, w którem wydra dublowała swe tropy, następnie skierowaliśmy się w górę. Przeszliśmy już trzy czwarte zwykłej drogi zwierzęcia z poprzednich nocy i dawno już byliśmy w miejscu suchem, a jednak psy nie dały jeszcze głosu. Byliśmy bardzo tem zdziwieni i liczyliśmy już tylko na stawy, gdy nagle na łące, ciągnącej się wzdłuż rzeczki, dwa psy odezwały się; pogoniły one bardzo ostro, a my z trudem pospieszyliśmy za niemi, nie rozróżniając nic przed sobą. Dobiegliśmy do jednego ze stawów i tam nabraliśmy pewności, że to wydra była ruszoną. Obszedłszy z psami naokoło stawu, przekonaliśmy się, że tam się zatrzymała, gdyż nie było tropów wychodnych; upewniwszy się więc o tem powtórnie, zaprzestaliśmy dalszego pościgu i powróciliśmy do miejsca, w którem psy trafiły na trop. Tam jeden z nas umieścił się w łożysku rzeczki, a dwaj inni na brzegu w taki sposób, żeby zagrodzić zwierzęciu powrót do jego tajemniczej kryjówki. Każdy z nas miał przy sobie psa, któryby mógł zawietrzyć zbliżającą się wydrę, i tak doczekaliśmy się świtu. W owej porze słońce wschodziło o godzinie czwartej;

jak tylko się pokazało na horyzoncie, powróciliśmy do domu po resztę psów.

A. Szolleman.

(*C. d. n.*).

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

Nad ślicznie położonem jeziorkiem, wśród olbrzymich bloków erratycznych, zeszliśmy kąpiącego się w błotnistej wodzie, dzika odyńca, sporych rozmiarów. Siedział na zadzie, tyłem do nas obrócony, i kiedy niekiedy ryj zanurzał w wodę, jakby rozkoszując się ranną kąpielą. Gdy zoczył intruzów, począł umykać, lecz kula moja z dużego ekspresa rozciągnęła go na miejscu. Dosyć udatny strzał, pierwszy z tej broni, jaki zrobiłem, pocieszył mię nieco po wczorajszej stracie starej Lebedówki, a przynajmniej dodał mi otuchy, że się bez niej obejdę.

Dzik cejloński, większy od indyjskiego, a mniejszy od naszego, nie różni się zresztą prawie w niczem od swego indyjskiego krewniaka, jest najpospolitszą w dżungli zwierzyną i małego między myśliwymi zażywa znaczenia. Uchodzi za grabarza dżungli, żywi się najbrzydszemi odpadkami, i nawet krajowcy, niezbyt zresztą wybredni gastronomowie, brzydzą się jego mięsem, jakoby dlatego, że dzik jadowite węże pożera.

Zabraliśmy z ubitej sztuki łeb, jako pierwsze na Cejlonie trofeum, i razem z pawiem, którego mi się podejść i ubić udało, przewiesili na kiju przez plecy jednemu z naszych kulisów. Zwykły to sposób transportowania w dżungli trofeów i wogóle zwierzyny.

Po parogodzinnej sieście w cieniu akacyi na skraju dużej haławy, ruszyliśmy dalej, kierując się ku Butawie, gdzie mieliśmy z obozem się złączyć.

Idziemy gęsiego wązkiemi ścieżynkami, wśród gąszczy i zarośli, w ciągłej, niemiłej walce z miliardami kolców, lian i pokręconych, drogę tamujących, powojów, które niemało utrudniają pochód w dżungli. Przesmyki dzikich zwierząt, a szczególnie drożynki, wydeptane przez słonie, stanowią jedyne ścieżki, któremi tu posuwać się można.

Starego Maulana, mniej obeznanego z okolicą, zastąpił Malaj, nazwiskiem Abanti, dziwnie brzydka, wstrętnie brudna i umysłowo mało rozwinięta istota, ale obdarzona niezwykłym instynktem do łowiectwa, i jeden z najlepszych trakerów, jakiego w ciągu naszej wycieczki spotkałem. Szedł naprzód, prowadząc naszą kompanię, ja za nim, w tyle Soult i kulisi.

Wychodzimy właśnie z gąszczu na otwartą polankę, gdy nagle Abanti skręcił się na pięcie i po jego minie poznałem, że coś ważnego zoczył. Zerwawszy sztuciec z ramienia i naciągnąwszy kurki, ostrożnie wychyliłem się z gąszczu.

Na skraju czystej polanki, o 25 kroków odemnie, stał olbrzymi bawół, na kuławy sztych ku mnie zwrócony.

Widocznie wietrzył niebezpieczeństwo, bo spoglądał ku nam, podniósłszy łeb potężny z rozdętemi nozdrzami.

Szybko posłałem mu pierwszą kulę, celując w łopatkę; skręcił się w strzale i w tejże sekundzie strzeliłem drugi raz w komorę. Runął w ogniu, jak piorunem rażony, i padł całym ciężarem, aż ziemia zadudniała.

Nigdy nie zapomnę widoku powalonego bawołu, gdy, nie mogąc powstać, rogami i racicami walił o ziemię, aż piasek leciał w górę, chrapał przeraźliwie i krwawemi ślepiami wokoło toczył, wściekły od bólu i złości. Kilku kul jeszcze potrzebował, nim ostatecznie martwy się rozciągnął.

Był to wyjątkowo duży okaz byka „pojedynka“, o pysznych i grubych rogach, jedno z najpiękniejszych trofeów mego polowania na Cejlonie.

Bawół indyjski (Bubalus Arni) przybył na Cejlon, jak wogóle cała fauna tego kraju, z Indyj, swej ojczyzny, jeszcze w owych prahistorycznych epokach geologicznych formacyj, gdy kontynent indyjski był złączony z wyspą t. zw. „mostem Adama“. Przed laty, stadami licznemi zamieszkiwały bawoły cały niemal obszar wyspy, dziś jednak z postępem kultury i cywilizacyi, cofnęły się do rzadkich miejscowości dzikiej dżungli, gdzie obszerne, nieuprawne równiny wśród bezdennych gąszczów zapewniają im spokojne i pewne ukrycie i ulubione wypasy. W prowincyach środkowych znikły już zupełnie, w północnych regionach trafiają się rzadziej, jedynie na południu dużemi stadami zamieszkują jeszcze okolice Hambantoty i wzdłuż morza ciągnące się dżungli przestworza.

Anglicy niesłychanie wysoko stawiają bawołu w szeregu najgrubszej łownej zwierzyny, uważając polowanie na niego za równie ponętne, jak niebezpieczne. Faktem jest, że byk postrzelony, jeżeli tylko dojrzy przeciwnika i sił mu starczy, zawsze zwraca się ku niemu i z całą wściekłością uderza na myśliwego. Powyższej reguły nie można zastosować ani nawet do tygrysa: jedynie o byku-bawole niemal kategorycznie wyrzec ją można. Już w jego postawie, wyzywającym wzroku i potężnej strukturze łba jest coś tak dzikiego, odważnego i imponującego, że sam wygląd zwierza, w połączeniu z rzeczywistem niebezpieczeństwem spotkania, wystarcza, by nadać bawołowi po pachydermach i największych felidach, pierwsze miejsce między najgrubszą zwierzyną.

Szerść ma ciemną, stare okazy niemal czarną, pod brzuchem żółtawą, nogi od kolan brudno białe. Jest on największym z bawołów indyjskich i afrykańskich; jedynie żubr nasz litewski i bizon amerykański wzrostem go przewyższają.

Brehm uważa go za protoplastę swojskich bawołów, które spotyka się na całym Wschodzie, i nazywa go zwierzęciem najdzikszem i najniebezpieczniejszem ze wszystkich zwierząt łownych, co i naturaliści i sportsmeni angielscy potwierdzają.

Myśliwi cytują wypadki z indyjskich łowów, że postrzelony byk rzucił się na słonie, z których do niego strzelano, a krwiożerczy tygrys unika lękliwie potężnego byka, który w walce z nim zawsza ma wychodzić zwycięzko.

Bawoły lubią nadzwyczaj okolice nizko położone, błotniste, gdzie pełno jezior, moczarów i kałuży, i jak amfibie, całemi dniami w wodzie i szlamie przesiadują, iby tylko nad powierzchnię wody wystawiając.

Rogi ma długie, karbowane, u byka grube w osadzie, u krowy więcej wydłużone i cieńsze. Bubalus Arni, w Indyach żyjący, ma rogi znacznie większe od cejlońskiego; zresztą w niczem od niego się nie różni.

Dziwna rzecz, jak klimat Cejlonu, albo może właściwość ziemi, czy paszy na wyspie nie sprzyja rozwojowi rogów i kłów u zwierząt. Słoń cejloński, jedyny wyjątek w swym rodzie, odznacza się ujemnie brakiem kłów i cennej kości słoniowej; bawół tegoż kraju ma rogi znacznie mniejsze, niż brat jego rodzony w sąsiednich Indyach; wszelakie cervidy, na wyspie żyjące, noszą rogi słabo rozwinięte, a nawet u zwyczajnej krowy domowej wyrastają tylko małe różki do kilku cali długości.

Bawół uchodzi za jedno z najtwardszych do ubicia zwierząt i mój nowy ekspres zdał pomyślny egzamin z siły swego pocisku, powalając zwierza na miejscu. Obie pierwsze kule w nim siedziały: jedna w łopatce, druga w komorze.

Dałem natychmiast znać do obozu i moja żona niebawem przybyła, aby się pięknej zwierzynie przypatrzyć i dzielić ze mną radość z okazyi ładnego trofeum myśliwskiego.

Kulisi wzięli się do ćwiertowania bawolego mięsa, odciąwszy łeb i przednie racice, jako godne zachowania pamiątki.

Jak na drugi dzień wyprawy, ładny mam rozkład dzisiejszy: bawół, odyniec i dwa pawie, z których jednego, ślicznego koguta, o pysznym ogonie, kulą nad brzegiem morza ubiłem, gdyśmy do obozu powracali.

W Butawie nasz obóz był rozłożony i namiot rozpięty w grupie cienistych akacyj, wznoszących się, jakby mała oaza na szerokiej, otwartej równinie, otoczonej w oddali ciemnym dżungli kołem. Wązki strumyk szemrze opodal, wijąc się piaszczystem korytem wśród wysokiej trawy i zarośli. Przed nami w oddali, na tle horyzontu siwieje ogromny blok erratyczny, który podobieństwu swych kształtów do olbrzymiego słonia zawdzięcza swą nazwę „Elephant-rock".

(C. d. n.)

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Wierzchownia, *w czerwcu.*

W Petrykowskich majątkach (pow. mozyrski, gub. mińska), zawdzięczając prawdziwie staropolskiej gościnności p. Dominika Dowgiałły, polowałem, jak zwykle, wiosną r. b. w d. 29 marca do 2 kwietnia starego stylu w rewirze Jamica, lecz z powodu silnych przymrozków głuszce grały bardzo słabo, tak, że chociaż na „podsłuchach" osadzałem po kilka sztuk, i to na małej bardzo przestrzeni, nie udało mi się upolować ani jednego z tych wspaniałych zabytków ornitologicznej przeszłości puszcz litewskich, wziąłem li-tylko przez ten czas w tymże rewirze cietrzewi 3, słonek na ciągu trzy i jednego jarząbka. Za to po świętach Wielkanocnych św. Hubert miał mię w swej opiece. Pierwszego po przyjeździe poranku, poszedłem i zabiłem w tymże rewirze Jamica wspaniałego, starego koguta; grał znakomicie, padł w ogniu o g. 3 min. 20, śród mlecznych oparów gęstej mgły porannej, ścielących się od ziemi, na tle brzasku cudnego poranku wiosny, przy harmonii dźwięków zbudzonej ze snu, puszczy poleskiej! Padł bohater głuchych ostępów, leśny samotnik, dziki i ostrożny, niemożliwy do podejścia rok cały; szał miłości tylko, promienie słońca pory odrodzenia mogą uśpić jego pierwotną nieufność i zwalić u nóg tryumfatora-myśliwego — padł i zamarła pieśń miłości na wieki... lecz wspomnienie tego tła cudownego Piękna Świętej Matki Przyrody żyć będzie w sercu sługi św. Huberta, podtrzymywać w walce życiowej i każe dziękować Stwórcy, że są jeszcze podobne chwile w szarem, obecnem życiu człowieka. Drugi też, stary kogut, padł o godz. 3-ej minut 4 d. 12 kwietnia w uroczysku Żerdiach, przy prawie zupełnym jeszcze mroku. Po pierwszym strzale zerwał się, chociaż był trafiony i po drugim dopiero w lot spadł w ogniu z trzaskiem, łamiąc choinę zwartych w tem miejscu, dużych sosen. Oprócz tego w tychże Żerdiach na ciągu upolowałem 3 słonki.

Oto rezultaty moich wypraw wiosennych tegorocznych na Polesiu. Szczere, staropolskie „Bóg zapłać" niech raczy przyjąć odemnie p. Dominik Dowgiałło, gdyż jego to ujmującej gościnności zawdzięczam już od lat kilku przeżycie tych chwil prawdziwego szczęścia myśliwskiego, bądź to w wiosennych promieniach, w skwarze dni lipcowych, lub w szarugach głębokiej jesieni puszcz litewskich! Żadne, najwzorowsze polowanie, żadna ilość zwierzyny nie mogą zastąpić czaru poleskich polowań głuszca na grze, po szeregu bezsennych nocy, kilkunastu dubeltów w żarze dziennym upolowanych, łosia, walącego się na rykowisku. Jeśli dobrze prowadzone polowanie stanowi harmonię cudną prawdziwej duszy myśliwskiej, to poleskie jest tej duszy modlitwą. I tak jeśli Bóg pozwoli, ciąg dalszy uniesień na ołtarzu św. Huberta mieć będę podczas upałów sierpniowych na rozległych błotach torfiastych, porosłych karłowatą sośniną, brzeźniakami, strzelając dubelty, kszyki i młode cietrzewie. Oby te błogie chwile conajrychlej nastąpiły!

Relacye w swoim czasie do „Łowca Polskiego" przyślę.

Adam hr. Rzewuski

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, d. 18 lipca. Wileńskie Tow. myśliwskie prosi o nadesłanie prawideł prowadzenia polowań. Postanowiono wysłać regulamin, obowiązujący na polowaniach Towarzystwa.

Ryski Oddział Tow. praw. myśl. nadsyła próbny numer wydawnictwa *Neue Baltische Weidmannsblätter.* Odesłano do Wydziału ochrony i polowań.

Petersburskie Tow. popierania zalet polowych psów myśliwskich nadsyła sprawozdanie o III-ej Wystawie psów i zawiadamia o odbyć się mających próbach polowych. Postanowiono wysłać żetony: złoty, srebrny i bronzowy.

Przyjęto rachunki IV-ej Wystawy psów, zatwierdzone przez Komitet Wystawy.

Posiedzenie Wydziału hodowli psów myśliwskich, d. 20 lipca. Termin konkursu wyżłów (*field trial'u*) oznaczono na piątek d. 7 września. Na sędziów zaproszono pp. Władysława Starzyńskiego, Wacława Paszkowskiego i Jana Sztolcmana, a na zastępców pp. Aleksandra Szwedego i Józefa Zarembskiego. Postanowiono prosić, jak i lat poprzednich, hr. Ksawerego Branickiego o udzielenie pól folwarku Służewiec na odbycie próby. Przyjęto jednogłośnie w konkursie podział psów na dwie klasy: angielskich i niemieckich, oraz innych ras i stosownie do tego wyznaczyć 3 nagrody w klasie I-ej (100, 60 i 30 rb.) i 3 nagrody w klasie II-ej (75, 40 i 25 rb.). Jednocześnie utrzymano dwie nagrody (20 i 15 rb.). dla strzelców, układających psy nagrodzone.

PRAWIDŁA

Konkursowej próby wyżłów (field-trial), urządzonej przez Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa w 1906 r.

1. Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa urządza w bieżącym, 1906, roku tytułem próby i dla zachęty posiadaczy wyżłów, *próby polowe* (*field-trial*) z nagrodami dla najlepszych i najlepiej ułożonych wyżłów wszelkich ras i pochodzenia.

2. Do konkursu mogą być zapisywane wyżły wszelkich ras, przyczem podane być winny: wiek, pochodzenie i pole psa.

3. Zapisy przyjmowane będą w Kancelaryi Towarzystwa *od daty ogłoszenia* konkursu do d. 6-go września włącznie. Zapisujący wnoszą tytułem wpisowego po rb. 3 od wyżła. Konkurs odbędzie się w dniu 7-ym września 1906 r.

4. Psy chore i suki grzejące się, do konkursu dopuszczone nie będą. Na punkcie zbornym, w dniu konkursu i o godzinie, wskazanej przez Kancelaryę, psy winny się znajdować w obrożach i na łańcuszkach. Sędziowie będą kwalifikowali psy *na miejscu*, przyczem psy wyraźnie nie rasowe mogą być przez nich odrzucone. Kolej próby psów ustanawia się przez losowanie. Spóźniający się pies będzie próbowany na końcu.

5. Psy próbowane będą na kuropatwach. Próby odbywać się będą w okolicach Warszawy.

6. Orzeczenie sędziów nie podlega apelacyi.

7. Rezultat ogłoszony będzie na drugi dzień w pismach.

8. Właściciel sam (lub przez strzelca) prowadzi psa, ściśle stosując się do wymagań i wskazówek sędziów.

N a g r o d y.

Klasa I-a. Psy angielskie:
I-a — 100 rb.
II-a — 60 „
III-a — 30 „

Klasa II-a. Psy niemieckie i innych ras:
I-a — 75 rb.
II-a — 40 „
III-a — 25 „

Dla strzelców, układających psy:
I-a — 20 rb.
II-a — 15 „

Wykazy Myśliwskie.

W rewirach księcia Raciborskiego w Austryi niższej rozkład od d. 1 marca 1905 r. do d. 31 marca 1906 roku wynosi:

a) Zwierzyny użytecznej: 45 jeleni-byków, 42 łań i cieląt, 20 danieli-byków, 47 danielic i cieląt, 1 jeleń wirginijski, 123 kozłów, 110 sarn-kóz i koźląt, 5,170 zajęcy, 658 królików, 111 dropi, 2 cietrzewie, 2,482 bażantów łownych, 150 bażantów królewskich, 21 słonki, 3,779 kuropatw, 38 przepiórek, 2 dzikie gęsi, 153 kaczek — razem 13,024 sztuk;

b) Szkodników: 6 lisów, 9 borsuków, 14 kun, 182 tchórzy, 430 łasic, 110 psów, 891 kotów, 612 wiewiórek, 91 orłów, kań i myszołowów, 82 krogulce, 178 sokołów, 356 sów, 23 czaple, 2 kormorany, 1,055 srok, 1,961 wron, 189 dębosików, 171 dzierzb — razem 6,326 sztuk. Ogółem 19,386 sztuk.

U księcia Pless w jego księstwie ubito od 1 kwietnia 1905 r. do 31 marca 1906 r.

Zwierzyny użytecznej: 220 jeleni, 159 danieli, 682 sarny, 47 dzików, 12,262 zajęcy, 3,626 królików, 113 cietrzewi, 11,963 bażantów, 84 słonki, 37 bekasów, 2 dzdżowniki, 5 przepiórek, 3,965 kuropatw, 1,125 kaczek, 12 gołębi, 1,085 różnych ptaków błotnych.

Drapieżników: 1 wydrę, 224 lisów, 39 kun, 16 borsuków, 320 tchórzy, 622 łasice, 1,299 wiewiórek, 561 psów, 980 kotów, 12 orłów, 1 puhacza, 67 sokołów, 29 czapli, 105 bocianów (!), 3,103 wron i srok, 168 różnych ptaków większych, 1,090 różnych mniejszych, 470 rozmaitych.

Razem użytecznych — 34,690, szkodników — 10,492. Ogółem — 45,182 sztuk.

Drobiazgi myśliwskie.

Zwierzyna na Saskiej Kępie. Podczas ubiegłego wylewu wody na Wiśle mnóstwo zwierzyny, jak zające i kuropatwy, schroniło się na Saską Kępę, oraz na wał w pobliżu ul. Solec. Ludność wyłowiła i pozabijała mnóstwo młodych zajęcy i kuropatw, dużo też pozostało.

Socyaliści, czy kłusownicy? Do „Głosu Radomskiego" piszą: Niedawno młodzież ćmielowska z pod czerwonego sztandaru postrzeliła Bogu ducha winnego, leśniczego lasów książęcych, za to tylko, że, pełniąc swój obowiązek służbowy, pilnował powierzonej mu zwierzyny.

Psy chwytane. Zarząd Tow. Opieki nad zwierzętami zawiadamia, iż psy, chwytane codziennie na ulicach Warszawy i przechowywane dotychczas w kantorze Nowo Wołyńska 7, są, z powodów od Towarzystwa niezależnych, od 1 lipca zatrzymywane w kantorze tylko do godziny 2-ej po poł. ku wygodzie publicznej, a następnie odsyłane na folwark za rogatkę Powązkowską, gdzie w ciągu trzech dni odbierać je można.

Niefortunny „puszkarz". W Warszawie przy ulicy Waliców 15, 21-letni Wacław Boryn reparował rewolwer. Wskutek nieostrożnego obchodzenia się, rewolwer wypalił i kula przeszyła Borynowi dłoń prawej ręki.

Zabezpieczenie od kul. Kapitan Czemierzin z Petersburga wynalazł nowy pancerz ochronny, zabezpieczający od kul. Próby dokonane wykazały, że kule z rewolweru systemu Browninga płaszczą się na odległość pięciu kroków. Pancerz odznacza się elastycznością, tanością i trwałością. Kapitan C. zwrócił się do władz tutejszych o kupno pancerzy dla policyi miejscowej.

Napad na myśliwych. „Agencya telegraficzna Rosyjska" donosi z Jarosławia 26 lipca. „W lesie w pobliżu Jarosławia, kozacy z dwoma strażnikami otoczyli trzech myśliwych, których obili nahajkami. Główny winowajca pobicia, rewirowy Berteński, uwolniony ze służby i oddany pod sąd.

Pies-bohater. Z Jarosławia galicyjskiego piszą: W d. 11 lipca kąpał się w Sanie mały chłopiec, uczeń pierwszej klasy wydziałowej. Prawie w połowie rzeki począł tonąć, porwany bystrym prądem wody. Na ratunek skoczył do wody... czarny pudel, będący własnością pewnego oficera. Dzielny pies pochwycił chłopca za rękę i płynąc, ciągnął go w kierunku brzegu. Niedaleko już brzegu chłopak kurczowo objął psa za szyję i pociągnął go za sobą w głąb rzeki. Wówczas skoczyli na ratunek ludzie, znajdujący się w bliskości i wyratowali chłopca; biedny zaś pies popłynął z wodą, okupując swem życiem życie ludzkie. Scena ta wywarła głębokie wrażenie na świadkach.

Niedźwiedzie w Tatrach. Pewien niemiecki turysta, odbywający wycieczkę w Tatrach, zboczył ze ścieżki w celu szukania roślin. Nieszczęściem trafił na jamę niedźwiedzią, w której niedźwiedzica karmiła młode, a zobaczywszy człowieka, rzuciła się nań, ciężko go raniąc. Turysta miał jeszcze tyle siły, że uszedł kilkadziesiąt kroków. Znaleziono go w stanie groźnym i odwieziono do szpitala w Peszcie.

Międzynarodowa wystawa wszechsportowa w Berlinie otwartą zostanie w d. 20 kwietnia 1907 r. i trwać będzie do 5 maja t. r. Wystawa obejmować będzie wszystkie gałęzie sportu, prócz sportu motorowego. Usunięcie samochodu i motocykla z areny wystawowej umotywowano tem, iż dział ten urządza samoistnie częste pokazy. Wystawę urządza niemieckie stowarzyszenie sportowe, które w tym celu wybudowało olbrzymią, specyalną hallę wystawową w pobliżu Ogrodu Zoologicznego.

Radium przeciw wściekliźnie. Dwaj znani włoscy lekarze, dr. Bongioranni i prof. Tirrioni, obaj z Bo-

lonii, złożyli w tych dniach Akademii ostrowidzów (dei Lincei) w Rzymie sprawozdanie o odkryciu, jakie uczynili z radium. Udało im się mianowicie w laboratoryum wyleczyć wściekliznę u zwierząt, przykładając im radium w rurkach, zamkniętych szybką z miki do oka. Stwierdzają oni z całą stanowczością, że kuracya, za pomocą radium, przyłożonego do oka, leczy wściekliznę u zwierząt nawet w stadyum ostatecznem, t. j. kiedy się już objawiają symptomaty przedśmiertne. Dr. Bongioranni jest znakomitością na polu lekarskiem. Stwierdzili również, że nie emanacye radyum, ale jego promieniowanie sprowadza ten skutek, a mianowicie działają tak promienie katodyczne. Jednocześnie przekonali się, że mózg zwierząt, poddanych próbom, nabiera własności promieniowania, a zatem bierze udział w leczeniu zarazy.

Psy na otoku! W czasie wysiadywania jaj w polu przez różne ptaki, myśliwy, udający się w pole z psem, powinien koniecznie trzymać go na otoku. Sami bowiem nie wiemy, ile szkody wyrządzić może taki pies, swobodnie hulający po polu. Ma on węch wyborny i wie bardzo dobrze, gdzie jest gniazdo. Często dotrzymuje przed niem dosyć długo, w końcu jednak znudzi mu się wystawanie i pies spędza kurę z jaj, która nie zawsze wraca do nich, o ile nie siedziała jeszcze na nich dwa tygodnie. Gdy pies ją za drugim razem znowu spędzi, to już rzadko kiedy wraca na jaja. Nie należy przeto psu pozwalać na oddalanie się w tym czasie, a na to najodpowiedniejszym środkiem jest otok.

Nawozy sztuczne i zwierzyna. Niektórzy twierdzą, że nawozy sztuczne bywają często przyczyną chorób u zwierzyny. Twierdzenie to kwestyonuje jeden z myśliwych, który pisze: Na ogrodzonym terenie, złożonym z 10 mórg średniego lasu bukowego i sosnowego gąszczu, oraz z 10 mórg ziemi uprawnej, podzielonej na małe parcele żyta, owsa, koniczyny i łąki,—posiadam stadko sarn, śród których są dwa koźlęta od maja 1905 r., dalej mam tu trochę zajęcy i bażantów, oraz kuropatwy. Od siedmiu lat używam wyłącznie sztucznych nawozów, biorąc na morgę 5 cetnarów nawpół mączki Thomasa i nawpół kainitu, co rozsypuję w listopadzie, tudzież saletrę chilijską na wiosnę pod żyto. Karmię tylko raz dziennie owsem, kasztanami i jarmużem w czasie od 1 grudnia do 1 kwietnia. Po rozsypaniu nawozów zwierzyna unika przez jakie 8 dni łąki i pola koniczynne. Z sarn żadna nie zdechła, aczkolwiek, oprócz borówek i jeżyn, miały do rozporządzenia jedynie owe pola nawożone. Dwa zające znalazłem nieżywe, ale rozszarpane przez łasicę, co stwierdziły pręgi oraz ukąszenia w karku, dalej wydrapane pazurami oczy. Odstrzał kogutów-bażantów wynosił 12 sztuk na sezon, tyleż także kuropatw. I w tym roku się nie zmniejszyła liczba. Zastałem też młodego zajączka w towarzystwie rodziców, żerujących na koniczynie nawożonej. Czy zatem można twierdzić, że nawozy sztuczne są szkodliwe dla zwierzyny?

Pływające zające. Dotychczas panowało ogólne przekonanie, że zające nie umieją pływać. Tymczasem z kilku stron nadeszły wiadomości do pism myśliwskich od naocznych świadków, że widzieli pływające zające, które nawet bez potrzeby pilnej, nieprześladowane przez nikogo, przepływały jeziora, stawy i t. p., by udać się na żer na brzeg przeciwległy.

System dzierżawny w Szwajcaryi. W kantonie Lucernie wielka rada uchwaliła nowy system dzierżawy polowań, ale musi on jeszcze przejść przez plebiscyt. Radni wydali odezwę do ludu na korzyść nowego systemu, który uwzględnia fakt, że przy wielkiej liczbie myśliwych i ulepszonej broni myśliwskiej grozi zupełny zanik zwierzostanu. W kantonie Zurichu również odbędzie się plebiscyt w tym przedmiocie. W kantonie Aargau, gdzie już zaprowadzono ten system, uzyskano za dzierżawę w roku ubiegłym 98,076 franków, oraz 14,711 fr. za świadectwa.

Drapieżność jeża. Mimo że niektórzy twierdzą, iż jeż tępi gorliwie węże i myszy, myśliwy nie powinien go oszczędzać, gdy go przyłapie o zmroku, albo kiedy psy wytropią to zwierzę pod liśćmi. Jeż bowiem nie zasługuje na opiekę i ochronę. Tępi on wprawdzie myszy, ponieważ jednak wychodzi na łów dopiero późnym o zmroku, przeto ofiarą jeża padają prawie wyłącznie kretomyszy (*sorexy*), które w nocy tępią niezliczoną ilość liszek, robaków i owadów. Natomiast wszystkie myszy dzienne uchodzą jego napaści. Podobnież dzieje się z wężami. Gdy jeż, śpiący za dnia, opuszcza swe legowisko późnym wieczorem, większość węży już zdążyła powrócić do swego schroniska. Jeż przeto szuka pożywienia gdzieindziej, wietrząc czułym węchem gniazda jaj, leżące na skrajach lasu, na miedzach, nad rowem. Wyszukuje gorliwie gniazd bażantów, cietrzewi, kuropatw, przepiórek i skowronków, wypija jajka i nie oszczędza także piskląt.

Kangury i Kazuary w Anglii. W parku i lasach zamku Tring w Anglii, należącego do znanego badacza przyrody, barona Waltera Rotszylda, udało się zupełnie zaaklimatyzować kangury, co dotychczas gdzieindziej dawało rezultaty niezadawalające. Samice prawie wszystkie noszą teraz młode w workach. W parku znajduje się spore stado tych zwierząt, co przedstawia widok bardzo zajmujący, szczególnie, gdy z tarasu zamkowego patrzymy na rozległą łąkę zieloną, gdzie pasą się razem daniele, kangury i Nandu, przedstawiciele fauny 3 części świata. Również zaaklimatyzowano kazuary; samica tego roku wysiadywała jaja. Do rzadkości angielskich należy także zaaklimatyzowanie Kakadu biało i czerwono głowych przez angielskiego posła do parlamentu, Buxtona, w południowo-angielskiem hrabstwie.

Roztropność psa. Z Mannheimu donoszą do „Frankf. Ztng.“ o następującem zdarzeniu, świadczącem wymownie o niezwykłej zmyślności psów owczarskich. W pobliżu stacyi Wohigelegen znajduje się obszerna obora, do której spędzają na noc trzody owiec; tutaj śpią również dwaj owczarze. Przed kilku dniami naładowano owcami cały wagon, który miano pociągiem nocnym wysłać z najbliższej stacyi. Późnym wieczorem jeden z pasterzy wyszedł z psem na dworzec kolejowy, aby się przekonać, czy już wszystko jest w porządku. Po pewnym czasie przybiegł z powrotem sam pies; skomląc i szczekając, chwycił zębami za ubranie drugiego z pasterzy, który pozostał w oborze, i ciągnął go za sobą. Zdziwiony tem zachowaniem się psa, owczarz bronił się, jak mógł, ale nic nie pomogło. Wreszcie zrozumiał, że pies chce, aby szedł za nim. Udał się więc za psem, szybko biegnącym w stronę toru kolejowego, gdzie owczarz zobaczył towarzysza, leżącego na ziemi, uległ on bowiem nieszczęśliwemu wypadkowi: chciał się przekonać, czy górne drzwi naładowanego owcami wagonu są również dobrze zamknięte; wspiął się przeto na górę, lecz w tej chwili runął na tor, gdzie, uderzywszy się silnie o szyny, uległ złamaniu żebra. Każde poruszenie sprawiało mu tak silny ból, iż, pomimo niezwykle silnego mrozu, oraz obawy, że każdej chwili może być zabity przez najbliższy, przejeżdżający pociąg, nie powstawał z ziemi, pies zaś, zobaczywszy, że pan jego upadł i leży bez ruchu, puścił się szybko w stronę obory, odległej przeszło o kilometr od stacyi, aby sprowadzić pomoc nieszczęśliwemu.

Odprawa. Niedzielny myśliwy (do ładnej chłopki). — No, mała, nie boisz się mnie?

— Ja? Wcale nie, ale tatulo się boją, bo to naganiacz!

* * *

Przysłowie modne. Daj kurze grzędę, a ona powie, że chce równouprawnienia... z kogutem.

* * *

Utyskiwanie myśliwego Ja chcę — fuzya nie chce; fuzya chce — zając nie chce.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (C. d.).

Lew.

1. Gdzie lwia skóra nie pomoże, w lisią się obszyć.
2. I zajączek wtenczas śmiały, kiedy lew w klatce.
3. Kiedy lew ryknie, to pieski cicho siedzą.
4. Lepszy pies żywy, niż lew martwy.
5. Lew much nie łapie.
6. Lew małych zajęcy, orzeł much—nie goni.
7. Nie łapie lew muchy, orzeł wróbla puszcza.
8. Lew nie rysia, lecz lwa rodzi.
9. Lew mężny zająca nie rodzi.
10. Lwa pieski mogą obudzić, ale ukąsić żaden nie śmie.
11. Lwa z pazura poznać.
12. Poznać lwa po paznogciu.
13. Lwiątko, choć młodziuchne, paznokietki ma.
14. Lwu zdechłemu łacno brodę skubią.
15. Nie tak lew srogi, jak go malują.
16. Nie trzeba śpiącego lwa budzić.
17. Uchodząc przed lwem, wpadł na niedźwiedzia.
18. Zdechłego lwa i zające się nie boją.
19. Snadniej bywa lew ugłaskany, niż zła baba.
20. Napisano u białego lwa, nie czekają jednego dwa.
21. Doma lew, na wojnie tchórz.
22. Dumny, jak lew.
23. Lepsze wojsko jeleniów pod lwem-hetmanem, niż wojsko lwów pod jeleniem.
24. Koń na żelazo, lew na ogień, wilk na powróz — nieradzi nacierają.
25. Z królem, z rusznicą, z lwem - szkodliwy żart.
26. Więcej często wskóra lisim ogonem, niż lwim pazurem.
27. I lwa łagodnością powoli ugłaskasz.
28. Łupi go, jak zdechłego lwa.
29. Mężny, jak lew.
30. Miłość lwom srogość odejmuje.
31. Lepsza mucha żywa, niż lew zdechły.
32. Źle myszurowi (mysz-samiec) zięciem być lwowi.
33. Odważny, jak lew.
34. Kiedy pieska biją, i lewek się boi.
35. Zawżdy śmielszy piesek przy lewku.
36. Porwał się, jak lewek, i ustał, jak mucha.
37. Porwał się, jak mucha na lwa.
38. Ryczy, jak lew.
39. Silny, jak lew.
40. Srogi, jak lew.
41. Nie chodź z synami na lwy, z zięciami na zające.
42. Kto się chroni wilka, rad się styka ze lwem.
43. Wyskoczył, jak lew, a siadł, jak mucha.

(C. d. n.).

Treść Nr. 15 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 16. *Warszawa, d. 16 Sierpnia 1906 r.* *R. VIII*

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W sierpniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), oraz na wszelkie ptactwo przelotne, a od 14 sierpnia i na jelenie (byki), zające, głuszce, cieciorki, jarząbki (kury), kuropatwy i dropie.

Lunacja w sierpniu.

Nów d. 19 o g. 2 m. 24 pp.
Pierw. kw. d. 25 o g. 7 m. 36 r.

Wschód i Zachód Słońca

w sierpniu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	4	44	7	23
17	4	46	7	21
18	4	48	7	19
19	4	49	7	17
20	4	51	7	15
21	4	53	7	1[illegible]
22	4	54	7	10
23	4	56	7	8
24	4	58	7	6
25	4	59	7	4
26	5	1	7	1
27	5	3	6	59
28	5	4	6	57
29	5	6	6	55
[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]	[illegible]